

W Kolei Transsyberyjskiej panuje przyjacielska, momentami wręcz rodzinna atmosfera, chociaż ilość ludzi mogących obserwować się nawzajem przez oknągłą dobę, z początku trochę krępuje. Każdy "plackartnyj wagon" podzielony jest na małe "mieszkanka", izdebki bez drzwi, w których "rozgrywa się" namiastka normalnego życia na widoku publicznym. Dusznymi nocami, wzdłuż korytarza chłodzi się rząd bosych stóp. Śniady Buriat uśmiecha się przez sen, matka poprawia zwisającą z pryczy rękę córeczki. O czym śnią, przemierzając kolejne tysiące kilometrów ?

Rano budzi nas kolejowy radiowęzeł: miłe powitanie, informacje o podróży i o czekających nas za oknami "atrakcjach", cicha muzyka, skecze.

Trzy razy dziennie panie "prowadnice" sprzątają wagony i WC. Mydła, papieru toaletowego, mycia podłóg, czystości i miłej obsługi mogłoby pozazdrościć kolei transsyberyjskiej nasze PKP.

Klimatyzacja w rosyjskich pociągach nie należy do najlepszych, dlatego ulgą w upalne i duszne dni były postoje na większych stacjach, podczas których można było wyjść na peron. A tu roiło się już od handlarzy wciskających zmęczonym, ale często również głodnym podróżnym, suszone ryby pakowane w gazety, "pirożki" – do wyboru – z mięsem, "kartoszkami" lub kapustą, ciepłe ziemniaki (często już wystygłe), ogórki, słodycze, piwo, napoje. Także w pociągu można było zaopatrzyć się u "obnośnych" handlarzy w pożywienie, swetry, czapki, żyletki i temu podobne akcesoria.

Mimo, że dookoła nas byli niemal sami Rosjanie, obcy ludzie, to swoją serdecznością, dobrocią i otwartością zjednywali sobie naszą sympatię. Po za tym po 3,5 doby podróży zadomowiliśmy się na dobre w pociągu wiozącym nas ku przygodzie.

Irkuck objawił się nam dwoma obliczami: starym – urokliwym pięknem drewnianej, kunsztownie zdobionej zabudowy – i nowym – przemysłowym, wypełnionym blokowiskami z "wielkiej płyty".

Centrum miasta, to przeważnie owe zabytkowe, parterowe bądź – bogatsze, należące niegdyś do majątnych kupców – jedno- lub dwupiętrowe, drewniane budynki, pochodzące z okresu po 1879 r., czyli po pożarze, który strawił niemal cały gród. Zwłaszcza ich portale okienne, okiennice i gzymsy, niekiedy z elementami charakterystycznego dla tego rejonu baroku syberyjskiego, prezentują najwyższej klasy sztuki snycerski. Niestety, budynki te popadają w coraz większą ruinę, bowiem ani zamieszkujących je, ubogich mieszkańców, ani miasta nie stać na ich renowację.

Bardzo istotną rolę w dziejach miasta i jego okolic odegrali polscy zesłańcy (zwłaszcza po 1863 r., chociaż ich obecność w tym miejscu zaznaczyła się już w XVIII w.) oraz przedsiębiorczy Polacy przybyli do Irkucka z własnej woli (pod koniec XIX w. żyło tu około trzech tysięcy Polaków). Zjednywali oni pozostałych mieszkańców swoją uczciwością, pracowitością, sumiennością i łagodnym usposobieniem. Zarówno dobrowolni przybysze jak i zesłańcy zdominowali życie gospodarcze Irkucka, uruchamiając rozmaite przedsiębiorstwa, hotele, zakładając pierwsze ciastkarnie, restauracje, kawiarnie. Do dobrego tonu należało zaopatrywanie się w chleb z polskiej piekarni, ubieranie się u krawca – Polaka czy też kupowanie polskich mebli w największych irkuckich sklepach. Niejako kontynuacją tamtej tradycji jest "Polski Dom" – sklep oferujący wyłącznie wyroby jednej z naszych największych fabryk mebli.

W miejscu strawionej przez pożar, drewnianej świątyni katolickiej stanął w 1885 r. kościół w stylu neogotyckim. Zbudowano go ze składek mieszkających w Irkucku Polaków, stąd nazywany jest Polskim Kościołem. Swoją funkcję sakralną pełnił do roku 1938, czyli do jego przejęcia przez władze komunistyczne. Obecnie mieści się w nim sala organowa irkuckiej filharmonii. Od Wigilii 1990 r. znów odprawiane są w kościele Msze Święte, ale tylko w dni "nie koncertowe" (w pozostałe dni odprawiane są one w dolnej kaplicy kościoła). Istnieje w Irkucku jeszcze jedna, nowa świątynia katolicka, będąca siedzibą biskupa.

Synonimem panującego w Irkucku ubóstwa mogą być znajdujące się między kościołem a Cerkwią Zbawiciela, pootwierane włazy do kanałów – "spalni", z oznakami toczącego się wewnątrz, nocnego życia. Natomiast nie tyle o dobrobycie, ile o nie zawsze uczciwej zaradności mieszkańców tej części Rosji świadczy mnogość samochodów osobowych posiadających kierownice z prawej strony. Wynika to z faktu, że bliżej stąd do Tokio niż do Moskwy, a amatorów łatwego zarobku nielegalnie sprowadzających auta z Japonii nie brakuje.

Z okna bloku, w którym spędziliśmy pierwsze dni na Syberii, rozpościerał się widok na rozłożyste zakole Angary. Ta jedyna rzeka wypływająca z Bajkału, za jego pośrednictwem zbierająca wody setek potoków, rzeczek i rzek wpadających do jeziora, swoje kilometrowej szerokości źródło ma w okolicach miejscowości Listwianka. Godny uwagi jest pobliski skansen w Talcy, w którym zgromadzono zabytki architektury i kultury materialnej narodów Przedbajkała, m. in. zrekonstruowaną dawną rosyjską wieś

gminną z rejonu środkowej Angary, kompleks buriacki, a w nim wyposażone w sprzęty codziennego użytku, letnie i zimowe siedziby zamieszkiwane niegdyś przez Buriatów oraz zabudowania wioski Ewenków.

Każda wioska na Syberii ma swoją specyfikę. Bolszyje Koty, do których popłynęliśmy wodolotem z Listwianki, robią wrażenie zapomnianej przez ludzi, położonej nad brzegiem Bajkału, podgórskiej wsi na końcu świata (mimo, że rejs trwa zaledwie kilkadziesiąt minut). Rozrzucone nad brzegiem jeziora, opodal drewnianej przystani, spróchniałe łodzie odwrócone dnem do góry, unoszący się zza bramy dym, przy studzienne żurawie, czas wlokący się leniwie w ciszy błotnistych wiejskich dróg, chałup dymiących "obiadowymi" paleniskami, mały sklepik, nieliczni mieszkańcy bez pośpiechu podążający w sobie tylko znanym kierunku, drobny, zarośnięty "wiejski dziwak", bełkotliwym głosem o coś zagadujący, podający dłoń na powitanie, a drugą ręką agresywnie szukający zaczepki – jedyny nie życzliwy człowiek, jakiego spotkałem na Syberii, pasące się konie i żrebaki, wszystko to składa się na obraz tej małej, ubożuchnej, syberyjskiej wioski rybackiej, pięknej swą surowością i prostotą.

W pobliżu Bolszych Kotów znajduje się jaskinia, w której odkryto kamienną i żelazną broń myśliwską oraz fragmenty glinianych naczyń z ornamentami staro tureckimi. Nad Bajkałem jest kilka miejsc, gdzie można zobaczyć ślady bytności człowieka, n. p. rysunki naskalne sprzed kilkuset, a nawet dwóch i pół tysiąca lat.

W drodze powrotnej nisko nad Bajkałem unosiły się kłęby mgły. Z jej obłoków wylaniały się cienie kutrów, łodzi rybackich, zarysy gór, sylwetki wędkarzy "przyczajonych" w szuwarach Angary. Kilka dni później, z okien pociągu, oglądaliśmy równie tajemniczo "zadymione" stepy, taję przyobleczoną w biały opar, "złowieszczy" zachód słońca nad zasnutym mgłą lasem.

Owocna w obserwacje była podróż pociągiem do Sljudanki. Zatlócone wagony, wypełnione tubylcami, obcymi ale i tutejszymi turystami wyposażonymi w plecaki "IRKUT-u" i w zwykłe, zniszczone "pałatki" oraz bardzo licznymi grupami rozbawionej i rozkrzyczonej młodzieży.

Wśród owych młodych ludzi wyróżniali się pseudo-sataniści, efektownie obnoszący się z atrybutami swojej "ideologii", ale - przynajmniej na razie – traktujący ją w sposób zabawowy, jako formę kontestacji, odreagowania niedawnej rzeczywistości odgórnym nakazów i zakazów: odwrócone krzyże, czarne ubrania z ćwiekami i satanistyczną symboliką, wyniośle przechadzająca się po pociągu dziewczyna z czerwonymi rogami na głowie i w "ostro" granatowych pończochach na podwiązkach, ale jednocześnie nie było w tych ludziach agresji, przeciwnie, skorzy do uśmiechu, odnosili się do innych z życzliwością.

W wagonie, pośród młodzieży, królowało piwo i płynące z magnetofonów disko ruso, konkurujące – niekiedy napastliwie – z dźwiękiem gitary i zachrypniętym śpiewem wytatuowanych "twardych gości", zapewne znających chłód niejednego aresztu i smak posiłków w niejednym więzieniu.

Przy wejściu do każdego wagonu – na wszelki wypadek – znajduje się dzwonek i rodzaj "domofonu", przy pomocy którego można wezwać milicję, zgodnie z instrukcją podając numer wagonu i powód wezwania.

Generalnie jednak w pociągu panowała atmosfera dużej życzliwości i tolerancyjności.

Sljudanka nad Bajkałem, u podnóża gór Chamar Daban, stanowi bazę wypadową w góry, a jednocześnie kolejowy węzeł turystyczny w inne zakątki jeziora. Znajdował się tu polski kościół katolicki (dziś w jego miejscu stoi komenda milicji), co wskazuje na zamieszkiwanie niegdyś w Sljudance większej społeczności polskich zesłańców. Jediną pozostałością po kościele zburzonym przez władze sowieckie jest kamienna płaskorzeźba krzyża stanowiąca obecnie dodatkowy element wystroju prywatnego muzeum minerałów, będącego własnością niejakiego Żigałowa. Ponoć odkupił on ów "kamień" podczas rozbiórki świątyni.

Żigałow – siwobrody jegomość w kapeluszu i stroju a la Indiana Jons – robi wrażenie "nowego ruskiego". Właściciel posiadłości złożonej z kilku budynków mieszkalnych, wspomnianego muzeum, "trójklasowego hotelu" (podłoga na poddaszu, piętrowe łóżka w sali na parterze, pokoje gościnne, kuchnia, jadalnia oraz wychodek i zmyślniej konstrukcji kranowy pojemnik na wodę do mycia - w podwórzu) i zachodniego samochodu nie zatracił sympatycznego, gospodarskiego sposobu bycia.

Wraz z panem Olegiem – poznanym u Żigałowa dobrodusznym geologiem z Jekaterinburga – wybraliśmy się na poszukiwanie ciekawych minerałów – bogactwa tych okolic – trasą w kierunku Piku Czerskiego. Oprócz marmurów nie znaleźliśmy jednak niczego interesującego, za to zasmakowaliśmy atmosfery dzikości wędrówek po górskich bezdrożach, wielokrotnych bosych przepraw przez rwące, lodowate rzeczki (wspierając się kijaszkami i z butami przewieszonymi na szyi), pośród chmary

kolorowych i białych motyli przelatujących koło twarzy, siadających na ubraniach, kapeluszach, a nawet butach. Spotykaliśmy innych wędrowców, przeważnie Rosjan, rozmownych, uprzejmych, wzajemnie pozdrawiających się niekiedy bardziej spontanicznie i serdeczniej niż tatrzańscy turyści, niosących swój – często okazały – dobytek w zgrzebnych plecakach bądź w plastikowych torbach, w jakich handlarze zza wschodniej granicy przywożą do nas towary. Niejednokrotnie byli to – “targający” ze sobą pontony i wiosła – amatorzy spływów okolicznymi rzeczkami do Bajkału. Po drodze napotykaliliśmy liczne ślady po obozowiskowych ognisk (w rejonie około bajkalskim przebycie nie tylko górskich tras turystycznych zajmuje kilka a nawet kilkanaście dni).

Ze Sijudanki do Port Bajkał 2-3 razy w tygodniu starą bajkalską magistralą kolejową (ponoć w dużej mierze budowaną przez polskich zesłańców i dobrowolnych przybyszów z Polski), będącą fragmentem pierwotnej linii transsyberyjskiej, wyrusza pociąg złożony z dwóch wagonów osobowych i trzech towarowych. Poruszając się ze średnią prędkością poniżej 20 km/godzinę, przemierza niezwykle malowniczą, wiodącą nad samym brzegiem Bajkału trasę długości 84 km, przejeżdżając przez 39 tuneli (najdłuższy 807 m) i kilkadziesiąt mostów.

Tu czuje się atmosferę dawnej “kolejowej” Syberii: maleńkie, oddalone od siebie, drewniane stacyjki, na których, podczas postojów, miejscowej ludności sprzedawane są gazety i rozdawana jest poczta, czekający na peronikach ludzie handlujący rybami, “mydłem i powidłem” i zapraszający przyjezdnych na nocleg w gościnę do swoich domów, rozsiani wzdłuż trasy pociągu turyści biwakujący nad brzegiem Bajkału, na dźwięk lokomotywy wychodzący z namiotów i pałatek, radośnie wymachując rękoma w stronę odwzajemniających pozdrowienia ludzi w pociągu, bowiem dla nich, podobnie jak dla tutejszych mieszkańców, przejazd kolei jest wydarzeniem odświętnym. Także stateczki cumujące w jednej z wielu malowniczych zatoczek wymieniają z parowozem pozdrowienia gwizdem syren.

Na stacyjkach wysiada bądź wsiada po kilka osób, przeważnie z plecakami, ale im bliżej Port Bajkał, tym wagony stają się bardziej puste. Można też wyjść, by zaczerpnąć świeżego powietrza i rozsmakować się w atmosferze miejsca, ale nie należy się zbyt oddalać, ponieważ porę odjazdu zna jedynie Bóg i dwie bardzo sympatyczne “prowadnice” przez krótkofalówki podające do lokomotywy informacje, gdzie pociąg ma stanąć i kiedy odjechać.

W Port Bajkał spotkaliśmy podróżujących wagonem towarowym wraz ze swymi rowerami dwóch słoweńskich “cyklistów” – dziennikarzy wracających z wyprawy do Mongolii. Na nabrzeżu “zaatakowały” nas pasące się konie, pyskami i kopytami wyciągając jedzenie z naszych toreb i plecaków.

Nie lada “zjawiskiem” w syberyjskiej głuszy był stojący na bocznicy ekskluzywny Orient Express, czekający na powrót z Listwianki francuskich turystów.

Noc spędziliśmy w chacie sympatycznej “babuszki”. Częstoowała nas “czajem”, opowiadała o lokalnych, prawosławnych obyczajach, o nabożeństwach odbywających się zimą w cerkwi lub nad Bajkałem, o chrztach w bajkalskich przeręblach. Stojąc przy sędziwym, glinianym piecu, nalegała zapraszająco:

- Zostańcie dłużej. Upiekę wam pyszne “pirożki”, bułeczki.

Spóźniony autobus do Arszan charczał, dyszał na podjazdach, z trudem pnąc się pod górę, niemal “stając dęba”, a gdy osiągał większy “szczyt”, pędził w dół “na złamanie osi”. Od czasu do czasu zwalniał bądź zatrzymywał się, omijając lub przepuszczając spacerujące po jezdni krowy, nie reagujące na dźwięk klaksonów czy pohukiwania kierowców. Ich status na wschodniosyberyjskich drogach jest wyraźnie uprzywilejowany.

Zamieszkujące obecnie ten teren autochtoniczne ludy buriackie, podobnie jak ich przodkowie, zajmują się głównie pasterstwem myślistwem, jednak nie prowadzą już koczowniczego trybu życia. Nierzadko w stepie zobaczyć można tutejszych “kowbojów” pędzących stada bydła, a na targach, obok produktów mleko pochodnych, oferowane są krwiste mięsa.

Po kilku dziesięcioleciach programowej, komunistycznej unifikacji (laicyzacja, prosowiecka oświata oraz kolektywizacja), pociągającej za sobą także daninę krwi w stalinowskich łagrach, na terenach Buriacji następuje kulturowe i religijne odrodzenie. Znów kultywowane są lokalne i ogólnonarodowe święta (n. p. Geseriada – rodzaj rokrocznego festiwalu kultury, nawiązującego do tradycji staroburiackiego eposu bohaterskiego “Geser”, będący bodźcem do prób odtwarzania zapomnianych elementów tradycji tego regionu Syberii). Odradza się również lamaizm (tybetańska odmiana buddyźmu) i szamanizm – wierzenia bardzo często wzajemnie się przenikające i stanowiące ważny element świadomości narodowej Buriatów.

Buriacki lamaizm przejął wiele elementów miejscowych wierzeń i praktyk, zaadoptował niektóre bóstwa oraz “przywłaszczył” szamańskie miejsca święte. Na przykład w Arszan, oprócz dacanu (świątyni lamaistycznej), bardzo dużym szacunkiem darzone są tamtejsze źródła lecznicze. Drogi wiodące do owych źródeł, podobnie jak granice – lasu, wsi, w innych rejonach Buriacji także brzegu, wyspy – a także przełęcze, ciekawe skały i inne znajdujące się w pobliżu tych źródeł kultowe miejsca szamanizmu oznaczane są kolorowymi szmatkami przywiązywanymi do gałązek lub pni drzew albo kopczykami usypanymi z kamieni. W ten sposób Buriaci oddają cześć duchowi przyrody i innym lokalnym duchom i bóstwom.

Wnętrze arszańskiego dacanu, robiące wrażenie ogólnego nieładu, “zdobią” kolorowe, dość tandetnie wykonane wyobrażenia smoków, słoni i demonów. Do – będącego przewodnikiem duchowym – lamy siedzącego po środku świątyni, podchodzą tutejsi i przyjezdni wyznawcy buddyźmu, by, po złożeniu pieniężnej ofiary, otrzymać panaceum na bolączki ducha bądź ciała. Obok dacanu stoi kilka barabanów – młynków modlitewnych, które, wprawione w ruch i trzykrotnie okrążone, “odmawiają” za wiernego wypisaną na nich (bądź w ich wnętrzu) modlitwę. Tu także należy złożyć odpowiednią ofiarę.

“Przenikanie się” wiar i wierzeń ma swoje odbicie także w ludziach. Rosyjski katolik, dzielący z nami pokój, nie widział niczego zdroźnego w modlitwie w dacanie, czy też w składaniu czci i ofiar buddyjskim lub szamańskim duchom i bożkom.

Arszan jest syberyjską miejscowością uzdrowiskową z dwoma sanatoriami, kilkoma pensjonatami, barami, pijalniąmi wód (arszan w języku buriackim znaczy “woda lecznicza”) i położonym częściowo w lesie, u podnóża gór, ośrodkiem wypoczynkowym, stanowiącym zapewne po prominencki relikwium komunizmu, dziś w dużej mierze zdewastowany, z pasącymi się na trawnikach krowami.

W miasteczku spędziliśmy dwa dni, mieszkając w dość spartańskich warunkach w położonym na tyłach owego ośrodka, częściowo zniszczonym domku z “łazienką” nad potokiem, należącym do bardzo sympatycznej Buriatki. Dotarłem tam ze sporym opóźnieniem, ponieważ mój i tak z trudem poruszający się autobus (z powodu braku biletów, koleżanki przyjechały do Arszan “marszrutką”) wyruszył z Irkucka ponad dwie godziny po czasie. Najwidoczniej wyglądałem na bardzo zmęczonego, bo nasza gospodyni na powitanie uraczyła mnie czajem z kozim mlekiem (w tradycji buriackiej przyjęcie gościa potrawą mleczną jest odpowiednikiem naszego przywitania chlebem i solą).

W czasie, gdy koleżanki rozkoszowały się pięknem i potęgą Tunkinich Golców, zwanych też Tunkinimi Alpami, ja powędrowałem do Tunki – niegdyś stolicy Rejonu Tunkińskiego z 12 cerkwiami i 3 dacanami – dziś położonej wśród buriackich stepów, dość rozległej wsi z jedną “restaurowaną” cerkwią (obok starej, częściowo zawalonej, stawiana jest nowa, identyczna), biblioteką, kilkoma sklepami i malowniczą, choć podupadającą, starą drewnianą zabudową, pamiętającą zapewne przedrewolucyjne czasy świetności tego miejsca czy przebywających tu, nie tylko polskich zesłańców, między innymi osiedlonych w 1866 r. 150 polskich księży czy też z konieczności “goszczącego” w Tunce w latach 1890 – 92 Józefa Piłsudskiego.

Spotykani w sklepikach i na wiejskich drogach nieliczni mieszkańcy Tunki – siedzący na przydomowych ławeczkach staruszkowie, wracające z zakupami babuszki, dziewczynki z kocykiem idące na łąkę, dzieci wiozące ze studni wodę w metalowej beczce na kółkach – spoglądali na mnie z przyjaznym zaciekawieniem, nie pozbawionym jednak dystansu niepewności.

Przejeżdżające piaszczystymi uliczkami samochody, motory, niekiedy dwukółki zaprzężone w konie, pozostawiały za sobą tumany kurzu. W skwarne południe, zza białego pyłu, jakby z zamglonej, odległej przeszłości, wyłaniały się belkowe chałupy z misternymi rzeźbieniami wokół okien, drewniane płoty, zadaszone bramy, gdzieniegdzie żurawie pamiętające zesłańcze losy.

Dość popularnym sposobem podróży jest autostop. Wielu mieszkańców Syberii po rozpadzie Związku Radzieckiego i związanym z tym upadkiem nierentownych zakładów przemysłowych i kolchozów, pozostało bez pracy. Korzystają więc z każdej możliwości dorobienia, a taką stwarza odpłatne podwożenie, zwłaszcza miejscowych autostopowiczów, za cenę zbliżoną do wartości biletu na danej trasie. W ten właśnie sposób powróciłem do Arszan.

Kolejnym etapem naszej wędrówki (po nocy spędzonej na irkuckim dworcu) była położona na Bajkale wyspa Olchon i jej nieformalna “stolica” – Chużir. Z powodu braku biletów, podróżowaliśmy “marszrutką” będącą “dodatkiem” do autobusu.

Tutejsza Syberia odkrywała przed nami swoje inne niż dotąd oblicze: sucha, o łagodnych, jakby usypanych czyjaś wszechwładną dłonią pagórkach porośniętych bezkresnymi stepami, “falującymi”

wielością barw i odcieni spalonej, wypłowiałej zieleni, niekiedy kępą drzew. Na horyzoncie majaczyły stada bydła pędzone przez pasterzy na koniach. Co kilkadziesiąt minut pustkowie przecinała rozłożysta wioska.

“Marszrutka” zatrzymała się na poboczu, w cieniu jednego z pojazdów służących do remontu nawierzchni drogi. Któryś z pracowników uśmiechnął się porozumiewawczo. Po krótkiej wymianie zdań, kierowca otworzył wlew do baku, rozejrzał się i wsunął robotnikowi do ręki zwitek banknotów. Za chwilę kontynuowaliśmy podróż.

Oczekując na przeprawę promową na Olchon, spacerowałem stromym, skalistym brzegiem jeziora. Na skarpie, opodal przystani, ale też wzdłuż syberyjskich dróg, rozsiane są pojedyncze nagrobki, a niekiedy nawet małe cmentarzyki. Pozostawianie na nich talerzyków z jedzeniem i szklanek z alkoholem wynika prawdopodobnie z zakorzenionego w tutejszej, szamanistycznej tradycji kultu przodków, według którego los rodu i poszczególnych ludzi w dużym stopniu zależy od duchów osób zmarłych.

Buriaci od dawien dawna nazywali Bajkał “Świętym Morzem”, którego brzegi zamieszkiwane są przez duchy. Płynąc promem, wiele osób wrzucało do jeziora monety. Podobna sytuacja miała miejsce już po wjechaniu na wyspę. “Marszrutka” zatrzymała się i przez otwarte okna poszybowały metalowe krążki. Zwyczaj ten wywodzi się z szamanizmu i jest formą składania ofiary duchom (może nią być moneta, słodycze, kamień, zboże, papieros, ... cokolwiek), a jednocześnie ma to zapewnić ich przychylność i opiekę podczas dalszej podróży oraz – jak w przypadku Bajkału – ochronę przed sztormami i powodzenie w połowach. Obyczaju tego przestrzegają zarówno Buriaci, jak i Rosjanie.

Zamieszkaliśmy u pani, która – jak się potem okazało – była prawnuczką Polki zesłanej na Syberię. Do dyspozycji mieliśmy dwie izby dzielone kotarami na mniejsze pomieszczenia, z bielonym piecem i zapiekiem, w typowo syberyjskiej chacie zbudowanej z grubych bali układanych jeden na drugim, ze spadzistym dachem i otoczonym sztachetami ogródkiem od frontu. Prawie całą fasadę zapełniały trzy okna z pomalowanymi na niebiesko okiennicami, zaś wejście znajdowało się od strony podwórka ukrytego za wysokim parkanem.

Niestety, spóźniliśmy się na dzień, w którym funkcjonuje jedyna we wsi bania (rosyjska łaźnia), stanowiąca – oprócz funkcji higienicznej – jedną z tutejszych rozrywek oraz miejsce spotkań towarzyskich.

Wśród szamańskich miejsc świętych najważniejszą rolę odgrywa wyspa Olchon – “siedziba władcy dusz grzesznych i złych”, natomiast punktem o największym znaczeniu jest znajdująca się opodal Chużiru Skała Szamana. W jaskini “przeszywającej” Skałę na wylot mieszkał – według wierzeń Buriatów – pan Olchonu – szaman Burchan.

Szamani pełnili funkcję wróżbiarzy, kapłanów, a przede wszystkim uzdrowicieli mających dobre “układy” z duchami. Plemiona syberyjskie, których głównym źródłem utrzymania jest myślistwo, zbieractwo i pasterstwo, od dawna ogromną wagę przywiązywały do kultu bóstw przyrody: lasu, jeziora, rzeki, zwierząt, ... . Wszystkie te duchy mogą oddziaływać na ludzkie życie. I tu pojawia się znacząca rola szamana, mającego umiejętność i moc wpływania na owe bóstwa, a pośrednio na los człowieka oraz na zjawiska przyrody. Szamani po śmierci stają się duchami o dużej władzy, opiekunami rodów, bóstwami gór, jezior itp. Ich siedziby oraz miejsca, w których zostali pochowani, darzone są ogromną czcią, dlatego założenie przez władze sowieckie opodal Skały Szamana osady Chużir było celowym i jawnym świętokradztwem.

W miastach Przybajkala dominuje kultura rosyjska, choć współtworzona przez kozaków oraz zesłańców polskich, ukraińskich, niemieckich. Jej najbardziej znaczącym przejawem jest odradzające się prawosławie, podobnie jak lokalne wierzenia, wypełniające duchową pustkę tutejszego społeczeństwa. Na ulicach, w środkach komunikacji miejskiej, w pociągach spotkać można mnóstwo ludzi z krzyżykami na szyi. Przeważnie jednak jest to rodzaj kontestacji niedawnej jeszcze rzeczywistości komunistycznej.

Duży wkład w rozwój tutejszej kultury i nauki wnieśli także Polacy. Poczesne miejsce wśród XIX-wiecznych badaczy nie tylko okolic Bajkału zajmują zesłani powstańcy: Benedykt Dybowski – jeden z twórców współczesnej wiedzy o Bajkale i Aleksander Czekanowski prowadzący badania meteorologiczne i tektoniczne gór zachodniego Zabajkala oraz geolog, osteolog i zoolog – Jan Czerski, którego imieniem nazwano pasmo górskie o 1000 km długości, 300 km szerokości i 3000 m wysokości (Grzbiet Czerskiego), a także dwa szczyty w Górach Bajkalskich i Chamar Daban, pasmo i dolinę w Sajanach oraz wygasły wulkan w Dolinie Tunkińskiej.

Jak twierdzi ksiądz Ignacy Pawlus – proboszcz polskich kościołów w Irkucku i w Wierszynie – prawie wszyscy mieszkańcy Irkucka i okolic (oprócz tubylczej ludności buriackiej) mają w swoich żyłach przynajmniej kilka kropel polskiej krwi. Jeżdżąc po bliższych i dalszych okolicach Bajkału często spotykaliśmy ludzi, którzy, słysząc że przyjechalibyśmy z Polski, wspominali: mój dziadek, moja prababka, krewni mojego męża, żony byli Polakami. Pamięć o ich pochodzeniu trwa i jest z dumą (choć bez patosu) przekazywana kolejnym pokoleniom. Mało kto spośród nich zna jeszcze polską mowę. Ale są i tacy, których dzieci, oprócz angielskiego, uczą się także języka polskiego.

Wyjątkiem jest wieś Wierszyna – wysepka i ostoja polskości – położona około 160 km na północny zachód od Irkucka, a ponad 6000 km od granic Rzeczypospolitej. Nie mieszkają w niej potomkowie zesłańców, ale ludzi, którzy przyjechali tu dobrowolnie, „za chlebem”, w ramach reform carskiego premiera Piotra Stołypina. Rząd rosyjski, chcąc przeciwdziałać rosnącej fali emigracyjnej Polaków do Europy Zachodniej i Ameryki, starał się odwrócić ją na wschód. Poza tym władze, poprzez zaludnienie Syberii, dążyły do zapobieżenia kryzysowi panującemu na wsi rosyjskiej w europejskiej części Imperium.

Osadnicy, którzy nie potrafili przystosować się do bardzo trudnych warunków syberyjskiego rolnictwa, podejmowali pracę w kopalniach węgla kamiennego Czeremchowa, w zakładach rzemieślniczych Irkucka, a przede wszystkim na Transsyberyjskiej Magistrali Kolejowej. Niektórzy z nich, rozczarowani zastanymi warunkami, wracali do kraju. Natomiast ci, którzy zdołali się zasymilować, budowali w miejscu przesiedlenia domy, kościoły, szkoły.

Gdy jesienią 1910 r. – po prawie dwutygodniowej podróży koleją i przebyciu, wraz z zabranym z kraju dobytkiem, około 100 km wynajętymi od miejscowych dwukółkami – dotarli na miejsce, okazało się, że ich ziemia częściowo porośnięta jest tajgą, „bezpieczne” bydło należy do tubylczych plemion buriackich, a pierwszymi ich „siedzibami” będą „bałagany”, czyli budy zrobione z brzoźowych gałęzi. Mroźną, syberyjską zimą spędzili w ziemiankach w dolinie rzeczki Idy, zdobywając pożywienie w zamian za ciężką pracę u Buriatów. Niektórzy zdecydowali się wrócić do Polski. Pozostali najbardziej zdeterminowani lub ci, którzy nie mieli pieniędzy na powrót. Dopiero wiosną zaczęli karczować las i wznosić pierwsze domy.

Jednak już w 1912 r., z finansową pomocą władz oświatowych, ukończono budowę jednoklasowej szkoły elementarnej, a w 1914 – kościoła p.w. Świętego Stanisława Biskupa (z powodu działań wojennych, poświęconego dopiero w 1918 r.).

Z Irkucka do Wierszyny jechaliśmy z początku asfaltową, a pod koniec niemal polną drogą, jakby na przeciwnym – w stosunku do Bolszych Kotów – „koniec świata” (za Wierszyną jest jeszcze jedna wieś, a potem już tylko tajga). Malowniczo położona w dolinie rzeczki Idy, na pobrzeżu syberyjskiej tajgi, otoczona pobliskimi wzgórzami (wierszynami), w stosunku do mijanych wcześniej rosyjskich i buriackich wsi, robi wrażenie bardzo zadbanej, widać tu rękę gospodarza.

Obok sklepu powitał nas Denis – kilkuletni chłopiec, tutejszy powsinoga – bosy, brudny, ale wygadany i na swój sposób gościnny. Ukłonił się w pas, mówiąc po polsku, z długim „zaśpiewem”: – *Dzień dobry państwu. Cieszę się, że przyjechaliście. Bardzo mi miło. Zapraszam.* Zapytany, czy wie u kogo moglibyśmy się zatrzymać, wskazał – również kłaniając się – na domek pełniący funkcję plebanii: – *Proszę, u cioci Ludy.* Podczas rozmowy co jakiś czas wtrącał z wrodzoną sobie kurtuazją i szelmowskim błyskiem w oku: – *A „diengi” macie? Dajcie „diengi”.*

Przechadzając się błotnistą drogą wzdłuż wsi, ku naszemu miłemu zaskoczeniu, mijane dzieci, krzątający się wokół obojętnej dorosłości i siedzący na przydomowych ławeczka ludzie w podeszłym wieku, uśmiechając się, pozdrawiali nas serdecznym: *Dzień dobry.*

Przy jednej z chat zagadnęła nas starsza pani – Irena Nowak:

- *A skąd jesteście?*
- *Z Polski, z Łodzi.*
- *Z Łodzi? To mój brat mieszkał w Łodzi. Umarł ze dwa lata temu. Mycka się nazywał, Bronisław Mycka. Poszedł z wojskiem na zachód i został. Ożenił się i już nie wrócił.*

Drogą przejechało dwóch mężczyzn na motorze.

- *A co oni wieźli, takie długie, zawinięte w szmaty?*
- *Ciiiiiiiiii – zachichotała cichutko pani Irena, konfidencjonalnie przykładając palec do ust. – Nie wolno, ale połuj. W tajdze. No, ... strzelają. U nas bieda, więc trzeba.*

Budynki stojące wzdłuż drogi mają niekiedy blisko sto lat, chociaż są też nowe bądź ładnie odnowione domy. Wodę w wielu gospodarstwach nadal ciągnie się ze studni z żurawiem lub – jak przed

wiekami – przynosi się z rzeki w wiadrach na naramiennych nosidłach – koromysłach. Tylko nieliczni gospodarze mają pompy wodne. Jedną z niewielu oznak postępu, jaki dokonał się w Wierszynie w ciągu kilkudziesięciu lat, jest elektryczność.

Nad głową konia ciągnącego dwukółkę jaśniał drewniany pałak. Powożący chłopcy, siedzący na stercie drew, zapewne na opał, nie byli zachwyceni robieniem im fotografii.

Za wsią, nad brzegiem Idy, straszą gigantyczne hałdy zdezelowanych, zardzewiałych maszyn rolniczych – pamiątki po nieistniejącym już kołchozie.

W górującym ponad wsią brzozowo – sosnowym lesie przycupnął wierszyniański cmentarzyk. Na krzyżach i tabliczkach w zdecydowanej większości widnieją polsko brzmiące nazwiska, na starych grobach pisane alfabetem łacińskim, potem przekładane fonetycznie na cyrylicę, w ostatnich latach znów coraz częściej powraca się do pierwotnej pisowni. Niekiedy nazwiska zatarta mgła czasu, a na drewnianych krzyżach widnieją tylko poblakłe zdjęcia otulonych w chustki kobiet i wąsatych mężczyzn. Po niektórych grobach pozostały jedynie zapadnięte, trudne do rozróżnienia kopczyki. Obok krzyży drewnianych, wyróżniają się kolorami metalowe, katolickie i prawosławne, a także otoczone metalowymi płótkami pomniczki zwieńczone czerwoną gwiazdą. Na wielu krzyżach powiewają białe – czerwone wstążki. We Wszystkich Świętych ponoć tylko na polskich grobach palą się znicze.

Przy cmentarnym ogrodzeniu stoi długa ława biesiadna, natomiast na całym cmentarzyku rozsiane są mniejsze ławki i stołki. Na niektórych nagrobkach dostrzec można talerzyki i kieliszki z pozostałościami pokarmów i alkoholu. Rodzina zgromadzona przy jednym z grobów wspominała swego krewnego, racząc się czajem, wódką, blinami, ogórkami, chlebem. Gdy dostrzegli mnie spacerującego i robiącego zdjęcia, zostałem zaproszony na poczęstunek. Kiedy odmówiłem wypicia alkoholu, zaproponowali zjedzenie przynajmniej blina, zawartość kieliszka natomiast jeden z mężczyzn częściowo wypił, a częściowo połał nią grób.

Wieczorem, jak nowonarodzeni po kąpieli w bani - syberyjskiej suchej saunie - korzystając z zaproszenia pani Ludy – wierszyńskiej nauczycielki i prezesa tamtejszego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego “Mała Polska” - usiedliśmy przy stole zastawionym m. in. pysznymi potrawami z zaszlachtowanego dwie godziny wcześniej świniaka, twarogiem z jagodami zebranych w lesie przez panią Ludę, piwem i wódeczką. Przy dźwiękach “harmoszki”, na której przygrywał mąż pani Ludy, śpiewaliśmy piosenki polskie – od “Sokołów” po “dzieweczkę, która szła do laseczka” – i kilka “przyśpiewek” rosyjskich. Gospodyni, która ukończyła studia w Gdańsku, wspomina, że w Polsce z początku z przerażeniem patrzyła na krowy uwiązane na łańcuchach. Na Syberii chodzą one swobodnie. Rano same idą na pastwisko, a wieczorem również same wracają do zagrody.

Pani Luda – podobnie jak niektórzy inni mieszkańcy Wierszyny – jest dumna ze swych przodków, z ich odwagi, determinacji, wytrwałości w zachowywaniu polskości wsi. Marzą o budowie Domu Polskiego, będącego ośrodkiem kultury i kultywującą narodowe tradycje wizytówką tego miejsca. Z naciskiem podkreśla, że nie są Polonią, tylko Polakami. Wierszynianie, w sposób wręcz zadziwiający, zdołali ocalić nie tylko mowę i wiarę ojców, ale postawili sobie za punkt honoru nie mieszanie ojczystej krwi (wychodzić za Ruskiego, to był grzech).

Rozmawialiśmy też o dzisiejszych realiach życia w Wierszynie. Mieszkańcom doskwiera duże bezrobocie i bardzo niskie dochody. Utrzymują się głównie z uprawy roli, produkcji mleka, hodowli bydła, niekiedy z nielegalnych polowań. Pracują, jeśli znajdą zatrudnienie, przeważnie dorywczo, w tajdze (za następną wioską) lub w mieście. Ludzie żyją bardziej niż skromnie. Rodziny z reguły są wielodzietne, nieraz jest ich ponad dziesięcioro. Brak stałych dochodów (od 1991 r.) sprawia, że ludzie borykają się z wieloma trudnościami, między innymi z brakiem ubrań czy podstawowego wyposażenia dzieci do szkoły – jedynej na Syberii szkoły, w której uczniowie uczą się wszystkich przedmiotów w języku polskim.

Wprawdzie doprowadzona jest tu linia telefoniczna, ale telefon funkcjonuje wyłącznie w jedną stronę, czyli można dodzwonić się jedynie do Wierszyny.

- *Nie macie telefonu. A co, gdy ktoś zachoruje?* - pytamy męża pani Ludy.

- *Jak to co? Na "górkę"* (cmentarzyk) – odpowiada z gorzkim śmiechem.

Ważnym wydarzeniem dla Wierszynian było zatrzymanie się w wiosce na zimę słynnego pielgrzyma – George’a Yolter’a, idącego z Alaski przez Syberię, Indie do Ziemi Świętej. Śladem jego pobytu jest ponoć własnoręcznie przez niego postawiony pamiątkowy krzyż, z pobliskiego wzgórza czuwający nad wsią.

Wierszyna – podobnie jak wiele wsi syberyjskich – jest jednym z tych miejsc na świecie, w których ludzie - choć żyją bardzo skromnie - nie zamartwiają się o swój byt, nigdzie się nie spieszą, cieszą się

życiem, chwilą, sobą. Chociaż nie opływają w dostatki - nie mieszkają w wykwintnych domach, nie jeżdżą luksusowymi limuzynami - to jednak są szczęśliwi. Żyją pełnią życia, w zgodzie z naturą. Właśnie tu czują się naprawdę u siebie. Nasi rodacy mieszkający na Syberii nie zazdroszczą nam cywilizacyjnych nowinek. Mają świadomość tego, że w pogoni za karierą, sukcesem, pieniądzem bardzo łatwo przeoczyć coś, co rzeczywiście ważne: prostotę ducha, dobroć, życzliwość.

Do Polski wjeżdżaliśmy z kawałkiem Rosji – w sercach i w Rosjanach, którzy nam towarzyszyli – bogaci pięknem Syberii i dobrocią poznanych ludzi.